№ 13. Warszawa, dnia 19 (31) Marca 1886 r. Rok XXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

DOROBEK.

Kochałeś—by tracić!.... Jak tuman zwodniczy,
Pierzchały twych złudzeń nadzieje;
I serce ci fala zalewa goryczy,
Gdy wspomnisz twych młodych dni dzieje.—
A przecież-byś wrócił do owej przeszłości,
Co pierś ci szarpała tak srodze:
Do próżnych uniesień, zawodnej miłości,
Do wierzeń gubionych po drodze.
I mądrość dzisiejszą, i pokój zdobyty,
I pancerz rozumu stalowy,
Oddałbyś za młodych uniesień zachwyty,
Co biły do serca i głowy....
Bo w głębi twych pragnień i twojej tęsknoty
Już tkwiła moc szczęścia wszczepiona,
A Prawdą i Pięknem był promień ten złoty,
Za którym-ś wyciągał ramiona.
Od gwiazd gdzieś i słońca cudownie odbity,
Ideał nad ziemi lśnił bryłą
I duszę za sobą porywał w błękity,
Namiętną uskrzydlał je siłą!
Twoją też własnością na zawsze zostanie
Co serce uczuło gorące,
Czem było niebiańskich uroków kochanie,
Spojrzenie za światłem lecące.
I to są kosztowne młodości zdobycze,
Zyskane najdroższych sił pracą,
Nieprawda by były, jak próchno zwodnicze,
Bo życie, aż po grób bogacą.

ODPOWIEDZI NA KWESTYONARYUSZ.

(Dokończenie)

List trzeci (Jadwigi O...) bardzo się zbliża do poprzedniego we wnioskach swoich, jakkolwiek dotyka tylko pracy kobiecej. Kto się na wsi urodził i wychował, niech się wsi trzyma, i nie szuka gdzieś daleko warsztatu pracy, gdy tu może go znaleźć sobie, i pewniejszy, mniej zawodny, bo więcej od naszej własnej pilności, zabiegliwości i pracowitości w powodzeniu swem zależący. Córki i żony, a nawet krewne i znajome posiadaczy wiejskich mogą znaleźć na wsi zajęcie. Hodowla drobiu, przerób nabiału, jedwabnictwo, ogrodownictwo i przetwory z niego, pasiecznictwo: oto są owe warsztaty, niewątpliwie korzystniejsze od tej przeróżnej pracy, za którą dąży bardzo wiele osób do miast, a raczej do Warszawy, bo głównie tam zwykły się skierowywać nadzieje zubożałej rodziny wiejskich klas średnich—podupadłej szlachty. Dotychczas próby zarobkowej pracy na wsi najczęściej nie przynosiły pomyślnego skutku, bo się do tego źle brano, nie dość poważnie, tak, jak ten, co ma na zarobkutej pracy oprzeć utrzymanie swoje, ale bawiąc się w to niejako, bo rzecz stawała się modną. Korrespondentka rozbiera kwestyą *sklepów gospodyń wiejskich* po miastach i to, co w pierwszej seryi odpowiedzi na nasz *kwestyonaryusz rodzinny* (w Lipcu 1885 r.) znalazła tam o *sklepie gospodyń* w Sandomierzu, nazywa wierną illustracyą wszystkich takich zakładów w kraju. Rzecz silnie ją interessowała, więc zbierała wiadomości ze stron różnych. Wszędzie tak, jak w Sandomierskiem zabierano się do rzeczy ochoczo, z początku prześcigano się w dostawach rozmaitych przedmiotów, młode gospodynie czyniły sobie z tego kwestyą miłości własnej; ale zwolna ferwor ostygł produkowano po pańsku, więc kosztownie, nie ceniono małych zysków, uważano, że „nie opłaca się kłopot, który sobie zadawano“. Lecz co najgorzej, produkowano bez planu i rachunku, nie obierano sobie jakiejś gałęzi dostawy, ale przysyłano sklepom, co obrodziło, czego było zadość w domu, a często gęsto tak, jak to pisała owa sandomierska zawiadowczyni *sklepu gospodyń*, odsyłano, kiedy była „okkazya“ do miasta, a jeżeli zjechali się w tym czasie goście, lub dzieci przybyły do domu na wakacye, zjadano to przy dobrym apetycie i wesołym humorze. Więc sklepy na takich warunkach dostawy, jakoby z łaski utrzymać się nie mogły; nie zdołała ich uratować nawet sympatya publiczności, bo nie można przez sympatyą obywać się bez przedmiotów pożywienia, na które się liczyło, więc się zwrócono do dawnych dostawców, a *sklepy gospodyń* padły. Jeszcze dziś mogłyby odżyć, choć są w opinii zdeskredytowane, ale trzeba, aby dostawa była inna: porządna, stała, aby przytem gospodynie, dokładając pracy własnej i prowadząc rzecz oszczędniej, mogły produkować taniej, niż to miało miejsce poprzednio.

Korrespodentka, przyznając naszemu pismu zasługę, że ono pierwsze przeszło dziesięć lat temu podniosło głos nawoływania o *sklepy wiejskie*, utrzymywane przy dworach, lub przez osoby, któreby przybywały na wsie z pewnym kapitalikiem i zakładały takie sklepy, posiadając przecież oprócz dobrych chęci tak znajomość stosunków wiejskich, jak i tego co to jest handel—donosi, że to udało się lepiej, niż *sklepy gospodyń*. Jest już w kraju *sklepów wiejskich* kilkanaście, wszystkie przy dworach, utrzymywane przez żony, lub córki właścicieli wsi i wszystkie opłacające się bardzo dobrze. Korrespondentka pisze, że w okolicy, którą zamieszkuje, jedna z właścicielek, nawet zamożniej-

szych, naśladuje przykład owej pani, o której pismo nasze dwa lata temu doniosło, a która prowadziła w takim rodzaju sklepu handel zamienny, sprzedając ludowi wiejskiemu w czasie postu śledzie, lepsze i tańsze, niż w miasteczku, za jaja, liczone po tej cenie, jaką miały na targach w miasteczkach poblizkich. Jaj partyą już znaczną odstawiła ta pani podobnie, jak poprzedniczka, z której wzór brała, do Warszawy, i wyszła na tem tak dobrze, że i w tym roku znowu sprowadziła dwie beczki śledzi i rozmaity towar inny, pewna, że go bardzo korzystnie wymieni na jaja. „Więcej i w rozmaitym kierunku takich sklepów!—pisze korrespondentka—a nietylko kobieta ze dworu znajdzie uczciwy sposób powiększenia dobrobytu swojej rodziny, ale rodzinom wiejskim przybędzie to wszystko, co im wyzysk niesumiennych handlarzy miasteczkowych wydzierał—to wszystko, co materyalnie i moralnie tracił lud na odwiedzaniu szynków miejskich.“

Redakcya wie o jednym takim *sklepie wiejskim*, który przynosi dziedzicowi 1,200 rs., a jest prowadzony przez jego córki, których to bynajmniej uciążliwą pracą nie obarcza, bo w takim sklepie nie potrzeba, jak w mieście, siedzieć ciągle. Umieszczony we dworze, z wejściem z boku, ma przy drzwiach dzwonek, i wtedy dopiero gdy się dowonek jego odezwie, sklepowa przybywa na swoje stanowisko za kantorem. Ojciec czuwa nad tem, aby rachunki były prowadzone porządnie i zapewne dopomaga przy zakupach towaru. Szkoda, że nazwisko podanem tu być nie może, ale za pewność rzeczy Redakcya ręczy, bo wiadomość ma z ust najwiarogodniejszych.

Za 1,200 rs. obok pomieszkania, opału i różnych produktów spożywczych, których gospodarstwo wiejskie, dobrze prowadzone, dostarcza, może już utrzymać się rodzina skromnych gustów i oszczędnego życia.

Korrespondentka podnosi także myśl, którą pismo nasze kilkakrotnie rzucało, sklepów z ubiorami wiejskiemi. Niezbyt dawno redakcya donosiła w *Kronice działalności kobiecej* o sklepie takim otworzonym w Poznaniu przez stowarzyszenie pań poznańskich, a który nietylko wybornie się procentuje, ale zysk otrzymywany pozwolił towarzystwu na rozsyłanie swego towaru na targi mało-miasteczkowe, co korrespondentka też zaznaczyła sobie i sądzi, że byłby na tem niewątpliwie zarobek przyzwoity i korzyść dla stron obu: sprzedającej i kupującej. Dodać tu trzeba jeszczem, o czem może nie wie korrespondentka, a co przemawia silne za przedsiebierstwem, które pragnie widzieć na wsiach naszych. „Kuryer Warszawski“ doniósł niedawno, że przybywają do nas z Niemiec znaczne partye ubiorów ludowych.

Korrespondentka zwraca także uwagę naszych pań wiejskich, aby zajmując się gospodarstwem domowem na sposób matek swoich, nie zaniedbywały wyrabiać w domu tych różnych przetworów spiżarnianych, które niegdyś figurowały na stołach najzamożniejszych ziemian, a które dziś, przy wzrastającym zbytku z jednej strony, a niegospodarności kobiet z drugiej, poszły w poniewierkę i zapomnienie, zastępowane przez różne, z miasta przywożone i drogo kupowane przysmaki zagraniczne. Ludzie muszą, choć kiedyniekiedy, z ludźmi się widywać i gościa czemś przyjąć; dziś przecież, gdy ziemianie powinni ograniczać się w wydatkach swoich, jaknajbardziej, jeżeli chcą uniknąć ruiny, staje się rzeczą konieczną, aby obywano się po dworach naszych tak w rodzinie, jak i przyjmując gościa, przeważnie tem, co domowy przemysł gospodyni wyprodukować może. Wyjąwszy pewnych, koniecznych już przedmiotów, jak kawa, herbata, cukier, niekiedy wino, spiżarnia domowa powinna wszystkiego zresztą dostarczyć, a jeszcze to ani biedą, ani brakiem nie będzie, i trzeba tylko Boga prosić, aby się przy tem utrzymać było można.

Chcąc to przecież osiągnąć, trzeba pychę pańską z serca zdjąć i ręce osobiście do pracy przyłożyć, kucharzy, gospodyń, panien służących, i wogóle wyręczycieli i wyręczycielek, jaknajmniej mieć, i chyba w chorobie zarząd gospodarstwa na kogoś zdawać. Ale korrespondentka która widać jest pisma naszego uważną czytelniczką, przypomina tu radę Angielki Mrs. Linn Linton (Kobieta Angielska, Lipiec, 1885 r.) że w domu średniozamożnym gospodyni nie może ograniczyć się tylko do zarządu, ale tak ona sama, jak jej córki, powinny część pracy własnoręcznie odrabiać, a stanowić to będzie znaczną różnicę w rubryce rozchodów, gdy się w ten sposób służbę o połowę zmniejszy. — I nie będzie wtedy potrzeba sztucznie rozwijać i wyrabiać siły dziewcząt przez gimnastykę—pisze korrespondentka, przytaczając tę uwagę Mrs Linn Linton, że dziwi ją to niesłychanie, ilekroć słyszy, że lekarze nakazują kobietom niebogatym spacery dla ruchu. Praca domowa wybornie do tego służy, aby krew nie zastygała w kobiecie, a muskuły młodych dziewcząt wyrabiały się należycie bez skakania przez sznur. Niech łóżka ścielą, sprzątają pokoje, ścierają kurze; niech się zajmują gospodarstwem folwarcznem, ogrodem, nabiałem: a będą zdrowiuteńkie.

List czwarty, zbiorowy, od pewnej gruppy czytelniczek naszego pisma (od sióstr nieznanych), porusza również ważną w ekonomii domowej kwestyą ubrania kobiety, ubrania rodziny. Za naszych czasów zbytek nietylko wzrósł ogromnie, ale w nierozsądny sposób niweluje różnice konieczne klas zamożniejszych i mniej zamożnych. Gdzieindziej tak nie jest; nie jest tak naprzykład, w Niemczech, we Francyi, jak to wie każdy, kto kraje te zna; czyżby więc u nas była to pokutująca w społeczeństwie reminiscencya tej równości szlacheckiej, która szaraczka i karmazyna pod jednym strychulcem trzymała? Jest najwyższa i najdoskonalsza na świecie równość człowieka z człowiekiem—równość wobec prawa, wobec ducha, jeżeli pod tym względem ludzie ci znajdują się na jednym poziomie umysłu i uczucia, ale nie może być takiej równości wobec środków materyalnych, gdy te różnią się od siebie.

Bywają przecież w dziejach narodów takie chwile, że na odwrót tego, co powiedział poeta:—„I nie było biedaka (siéroty) w tak wielkim narodzie“.... trzeba sobie powiedzieć: „Nie może być bogacza w tak biednym narodzie!“ Wśród ubóstwa ogółu nie wolno jest bez grzechu zbytkować nikomu, ale w każdym razie muszą być w układzie życia, w obyczajach bogatszych i uboższych ludzi różnice pewne; szaleństwem też jest, gdy żaba, widząc, jak kują konia, nogę podstawia. Usiłowanie równania się przez okazałość, przez wystawność życia, jest objawem najnędzniejszej próżności i pychy, dowodem, że nadajemy bogactwu znaczenie dostojności wyższej, niż się to godzi, że czcimy w nim, na wzór pogan, *złotego cielca*. W imie dobra publicznego i dobrze zrozumianego intresu własnego, interessu rodzin naszych, powinniśmy się podnieść po nad ten stan, moralnie poniżający. Korrespondentki pragną też, aby u nas „honor nie był w odzieży.“ Niech nas nie gubią zbytki, przybywające do nas od bogatszych sąsiadów,—z zagranicy, która może więcej wydawać w tym kierunku, bo więcej posiada, i niema takich, jak my powodów do gorliwego pilnowania materyalnych interessów, które są już silnie podkopane. Więc korrespondentki chcą, aby kobieta nasza miała odmienne, swoje własne mody—proste i skromne w tym stopniu, aby nieubożyły jej i kraju.

Żądanie w zasadzie bardzo szlachetne i rozumne; ale trudno już dzisiaj przy warunkach nowożytnego życia wytwarzać odrębność taką, która w dodatku przy niezmienionej wartości moralnej, przy niezmienionem pragnieniu kobiety *brylowania* przez strój, piększenia się za jakąbądź cenę, byłaby tylko odrębnością formy gdy tu trzeba odrębności ducha—przeciwstawienia się zbytkom zagranicznym przez zrozumienie naszych potrzeb, naszych odmiennych interessów, przez podniesienie się ku wyższym życia ideałom. Niech kobieta z ogólnie europejskich wzorów ubrania wybiera najskromniejsze, a zawsze je znajdzie, gdy chce, niech im odbierze przez zmienione ozdoby nastrój kokieteryjny, przez proste materyały i prostotę wykonania, niech doda im powagi — a ziszczonem będzie to, czego korrespondentki szlachetnie żądają. Za rzecz najsłuszniejszą uważać trzeba surowo postawione przez nich żądanie, aby każda kobieta umiała uszyć, zrobić sobie odzież swoję i rodziny. Dla niezamożnej to potrzeba, to konieczność do oszczędności znaglająca; dla bogatszej to zasługa dobrego przykładu, to zatem cnota obywatelska.

List piąty pisze także kobieta: *W. O.* Lwowianka, lub we Lwowie przebywająca w tej chwili. Odpowiedź ta na nasz kwestyonaryusz obszerniejsza niż wszystkie poprzednie, i w sposób więcej wyczerpujący dotykająca tych wszystkich kwestyi, które razem składają się na nasz dzisiejszy stan biedy i potrzebę zmiany w układzie życia, wymaga też obszerniejszego sprawozdania i pewnej ze strony redakcyi dyskusyi.

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Myśl-ci to jest, którą w naszem położeniu pogardzać się nie godzi—rzekł powolnie. Zachowajcie ją przy sobie... któż wie? zbawienną być może.

— Nie zdradzając się z nią—dodał Sobieski—na wszelki wypadek coś przygotować się godzi. Nie może być, abyśmy rannych lub pochwyconych w zgiełku niewolników tatarskich nie mieli. Wybrałbym z nich jednego dla języka, a wiedziałbym jak i co mówić z nim. Puścić-by go potem, niby z przypadku, aby poniósł między swych, co potrzeba.

Ossoliński miał położenie za tak niebezpieczne i rozpaczliwe, iż mu rada Sobieskiego, na pozór zuchwała i dziwaczna, nie zdawała się ani śmieszną, ani odrzucenia godną.

— Czyńcie co wam się zda dobrem—rzekł—ale na własną rękę. Probujcie... Ja sobie wiele nie obiecuję, lecz wszystkiego dziś zażywać potrzeba, gdzie nietylko o żywot, ale i o cześć naszę i króla chodzi.

Na tośmy przyszli! z dopustu Bożego—za grzechy nasze!—zamruczał, ręce łamiąc kanclerz.

Młody Sobieski wyszedł z namiotu.

Duszą i ciałem żołnierz, znał już wojsko, ludzi, dowódzców, rozkład obozu i namiotów—tak, że mu noc wiele nie przeszkodziła, natychmiast się puścić w okopy. Po drodze tylko pytał: azali niéma gdzie jeńców tatarskich i czy kto o znaczniejszym z nich nie słyszał?

Nastręczył mu się tu Strzębosz, który i dla własnej ciekawości i dla króla wszędzie pilno sznurkował i rozwiadywał się.

— Są Tatarowie powiązani—odparł Dyzma—na kupę ich zrzucono pośrodku, aby nie pozbiegali, bo ta dzicz zębami łyka rozgryza i pełzając, jak robactwo, się rozłazi.

Ale też ich i żywić nie było warto, a na miejscu im łby ścinać.

— Prowadź mnie—rzekł Sobieski.

W obozie, jak w biały dzień, ruszało się wszystko; rozpytali więc łatwo o drogę. Jeńcy nie pod namiotem, ale w kałuży, na ziemi, kupą byli zrzuceni i powiązani tak, że ich pęta razem się wszystkie łączyły. Już zdala smród kożuchów i ciał rozpoznać ich dawał.

Przy świetle rozpalonej pochodni Sobieski mógł, przechodząc około tej kupy, przekonać się, że wielu jeńców, ciężko rannych, już trupami było. Pomimo, że krwi koło nich kałużki stały, żadnego jęku i głosu nie słychać było... tylko chrapanie i ciężkie oddechy konających.

Z brzegu postrzegł Sobieski mężczyznę silnej budowy, nieco szlachetniejszego oblicza, na którem też odzież oznaczała jeżeli nie jakiegoś carzyka, to murzę może.

Schylił się do niego i coś mu szepnął potatarsku.

Jeniec oczy czarne wytrzeszczył jadu pełne: nie odpowiedział nic i odwrócił się.

Sobieski go kazał odwiązać od kupy i, z rąk mu łyk nie zdejmając, prowadzić za sobą do namiotu. Nieopierając się, ale jak bezwładna kłoda dał się Tatarzyn prowadzić. Strzębosz z ciekawości szedł za nimi.

Przybywszy do namiotu, Starosta Jaworowski kazał wody naprzód dać jeńcowi. Patrzał na nią długo, chiwie Tatar, jakby się wahał, czy ją przyjąć ma, ale pragnienie go paliło: chwycił w końcu i cały kubek wychylił do dna.

Sobieski mówić coś począł. Strzębosz, który potatarsku słowa jednego nie rozumiał, oczyma tylko mógł sobie tłómaczyć wrażenie, jakie czynił młody Polak na Tatarzynie. Bronił on mu się milczeniem dumnem długo, naostatek coś go dopiekło, wyrwało mu się słowo jedno. Sobieski je podchwycił; Tatarowi rozwiązały się usta, oczy mu się zaiskrzyły—posypały się z obu stron pytania i odpowiedzi.

Tatarzyn, w końcu znużony, padł na ziemię i zamilkł znowu. Starosta mówił długo jeszcze, potem przywołał dwóch jeszcze ze swej czeladzi i starszego ze sług, wskazał im na Tatarzyna i kazał go napowrót do innych jeńców odprowadzić.

Dzień zaświtał, gdy już król na koniu ustawiające się oddziały swe objeżdżał, niespokojny. Znali starzy wojownicy Tatarów, że zawsze dla zręczniejszego z łuków strzelania, na lewe skrzydło naprzód wpadali. Postawiono tu Lubomirskiego — który mężnie odeprzeć ich był gotów. Wiatr też, który o wschodzie słońca się zerwał, przychodził w pomoc, bo od królewskich wojsk Tatarom w oczy dął, co siłę ich strzał osłabiało i odnosiło je w stronę. Królowi, gorączka, z której od wczora nie wychodził,—dodała sił i ochoty bojowej, choć widok tatarskich tłumów, ponad któremi trzy zielone buńczuki Gireja powiewały w powietrzu — pewność ta, iż za nimi Kozacy stali, czekając hasła, bardzo wątpliwem czyniła zwycięztwo.

Około południa król z orszakiem swym i oddziałem straży objeżdżał jeszcze szeregi.

Jak przewidywano, na lewem skrzydle z Lubomirskim przyszło naprzód do starcia, a tu tak się ścisnęli walczący niemal w jedno ciało, że szeregów jednych od drugich rozeznać nie było można. Z małego wzgórza król, stojąc, patrzał, gdy w oczach mu się zaćmiło; tatarska dzicz złamała pierwsze szeregi, które poczęły iść w rozsypkę.

Nie wierzył oczom, gdy Puzowski od Lubomirskiego przypadł, wołając o ratunek i posiłki, a wołanie jego wymownem było, bo miał przestrzeloną wargę, gębę krwi pełną i strzała mu tkwiła jeszcze w ustach.

Piechota tedy niemiecka od króla poszła zaraz z Huwaldem naprzeciw uchodzącym, ale i Jan Kazimierz sam się z nią rzucił, zapomniawszy o niebezpieczeństwie. W tej godzinie życia krew rycerska się w nim odezwała.

Wybiegłszy naprzeciw uchodzącym, począł jednych szpadą uderzać, drugich konie za cugle chwytać, wskazując nieprzyjaciela.

Głos i widok rozgniewanego króla zawstydził i powstrzymał a wtem i niemiecka piechota sypnęła gradem kul: Tatarzy nie mogli dotrzymać placu, zmieszali się, poczynając uchodzić.

Po odparciu tego pierwszego napadu, gdy się Orda nieco rozpierzchła, a do obliczenia strat przyszło, nie okazały się one wielkiemi, wojsko też przerażone szkodliwie nie było; ale wszyscy czuli, że się zwycięztwem też chwalić nie było można, i że, gdyby Tatarowie całą siłę swą wywarna wojsko królewskie, pod nawałą tą—pewnie-by uledz musiało.

Myśli tej nikt nikt nie wypowiadał: owszem, dodawano sobie otuchy, rozpowiadano przygody bojowe, dobywano szczątki połamanych strzał z kaftanów; ale w duchu spokoju nie było—król i teraz spocząć nie chciał.

On, jako wódz, odczuwał w tej godzinie wszystko, co krążyło w myśli tego tłumu, co nim poruszało.

Noc zapadła, chmurna, czarna i oparna; ciury obozowe i pospolity człek, który tylko czuł, że przewagi nie mieli wodzowie, widział ich posępne twarze, a troskliwe opasywanie się strażami przeciw nocy: począł się trwożyć.

W takim tłumie dość jednego słowa, aby wzniecić pożar. Głowy były po boju i znoju, może i napoju, oszołomione; najrzał ktoś przechodząc około wozów królewskich, że na nich wczoraj obluzowane sznury przymocowano. Zdało się drugiemu, iż dopatrzył koni, które do wozów wprzęgać miano; przywidziało się innemu, że namioty składano.

Dosyć tego było, aby po wojsku poszła wieść jak błyskawica: „Panowie się do ucieczki sposobią. Król uchodzi, a nas na rzeź i jatki Tatarom wydają!“

Nikt ani sprawdzał, ani wątpił, że wistocie, jak pod Piławcami, salwować się chcieli co przedniejsi, aby uniknąć niewoli: więc z szałasu do szałasu, szmer i trwoga, bieganina, nawoływania, krzyki.

Strzębosz, który do królewskiej chałupy wracał, jednego i drugiego ze strwożonych pochwyciwszy na drodze, choć się im w oczy rozśmiał, parsknął i zgromił, ale zmiarkował, że o tem królowi trzeba dać znać było.

Właśnie do drzwi dobiegał, gdy tu natrafił z jednej strony ks. Cieciszowskiego, z drugiej Tyszkiewicza, cześnika litewskiego, którzy przebojem śpieszyli tożsamo oznajmić.

Król wieczorne miał odmawiać modlitwy z ks. Lisieckim, Jezuitą, kapelanem swoim, gdy Cieciszowski, Tyszkiewicz i Strzębosz, nie oznajmując się, wtargnęli.

— N. Panie — zawołał Tyszkiewicz — chwili niéma do stracenia, zapobiegać trzeba wielkiemu zamieszaniu, a może sromocie. W obozie szerzą wieści, że dowódzcy i sam król uchodzić mają nocą... wszyscy też salwować się chcą. Pod namiotami niewypowiedziana trwoga i zamieszanie.

— Cóż mam czynić? — zapytał król.

Mężny kapelan ks. Lisiecki, który odwagę swoją miał życiem przypłacić, krzyknął na Strzębosza:

— Konia dla N. Pana. Pochodni! pojedziemy po obozie! Niech widzą oblicze pańskie, niech się przekonają, że tu życie dać wszyscy gotowi, ale salwować się nie myśli nikt.

Jan Kazimierz, który przez cały ten dzień był jak nigdy w życiu, usposobiony ofiarnie i rycersko, a miał w kapelanie swym ufność, natychmiast za nim wołać zaczął:

— Konia! pochodni!

Tyszkiewicz biegł do Lubomirskiego, ks. Cieciszowski do kanclerza, aby i oni królowi towarzyszyli.

Ale Jan Kazimierz wcale na nich nie myślał oczekiwać.

Wdziawszy już czapkę, wyszedł z ks. Lisieckim na próg.

— Co prędzej konia...

Podprowadzono mu go. Strzębosz, lękając się nocy i rozgorzenia, z jakiem król się wybierał pułki objeżdżać, pochwycił za cugle.

Pacholik przybiegł z zapaloną pochodnią.

— Koleją, po pułkach! koleją! — począł wołać Jan Kazimierz.

Zaledwie w środek obozu wjechał król, gdy naocznie się mógł przekonać, że mu fałszywie nie doniesiono. Pomiędzy szałasami i namiotami stały gromadki wykrzykujące: „Król i panowie uchodzą!“

Pierwszego, który mu się nastręczył, a nie widział nadjeżdżającego, uderzył król szpadą po ramionach.

— Król — zawołał z największym zapałem.— Otom ja! król wasz! Patrzajże, iż jako żyć pragnę, tak uchodzić nie myślę, ginąć z wami gotowem! Co wam się stało? Poszaleliście! Szlachta króla, żołnierze hetmana odbieżeć chcecie. Dziś nas Pan Bóg łaską swą salwował z niebezpieczeństwa, a jutro się zwycięztwa spodziewamy. W Imię Jego!

Chyba tchórzowstwo i gnuśność wasza przyprawi nas o stratę tego, cośmy zyskali. Pocożeście tu szli i poczynali, jeżeli wam do końca serca braknie?

Ja tu pozostanę, choćby sam jeden do końca, a przyjdzie głowę położyć: nie wzdrygam się.

Tuż za królem ks. Lisiecki, zagrzany męztwem, którego dawał dowody codzień, podchwycił:

— Srom i hańba wiekuista nam i imieniu naszemu, jeśli się tej dziczy ulękniecie!

Rozstąpili się pomieszani i milczący żołnierze, a niektórzy z nich tłómaczyć poczęli, ale nie czas ich było słuchać, król tożsamo powtarzając, ruszał dalej. Stawał wśród nagromadzonych i wybiegających z namiotów i krzyczał na cały głos: Otom jest!... otóż stoję i nie uchodzę.

Wśród tego pochodu, który cały obóz na nogi powołał... nadbiegł konno Ossoliński.

— W tej chwili odebrałem posłańca, iż pospolite ruszenie ciągnie z siłami znacznemi; jutro się może połączyć z nami!

Sobieski, który też konia dosiadł, nie wahał się dodać:

— Tatarowie odstąpić radzi Kozaków! Wszystko się nam składa jako najlepiej. Zbarażcy oblężeńcy zwycięzko się bronią i rzeź wielką uczynili.

Wszystko to razem cudownie powstrzymało już tak rozszerzający się popłoch, że kilku, co na koniach siedzieli i mieli uchodzić, coprędzej zawrócili się, kryjąc, aby ich nie dostrzeżono. Zabrakło cóś bojaźliwszych, ale tych zniknięcie, na wczorajszą potyczkę złożono.

Umysły się uspokoiły. Król zaś nie chciał powrócić do swoich, aż cały obóz do kończyn jego objechał.

Na brzask się miało, gdy z ks. Lisieckim, który mszę św. zabierał się odczytać, powrócił do swych dworaków. Czasu już na odpoczynek nie było, ani kto o nim myślał.

Animusz okrutny owładnął właśnie tymi, co wczoraj największą okazywali trwogę.

Gdy król wyszedł po mszy na próg, znalazł całe podwórko pełne rotmistrzów, dowódzców, starszyzny, dopominającej się rozkazów. Wszyscy poprzysięgali, że do ostatniej kropli krwi bić się gotowi.

Wojsko zatem tak, jak wczoraj, szykować poczęto. W tyle, za obozem znajdowało się miasteczko... a wały obozowe sięgały pod cerkiew ruską, którą wczoraj jeszcze Kozacy odebrali i obsadzili. Z tej jednak strony nie ważyli się napaść, bo silnie była obsadzoną.

Już dobry był dzień, gdy razem Kozacy na lewe, a dwaj carzykowie tatarscy rzucili się na prawe skrzydło, którem dowodził Ossoliński.

Srogi i zajadły zawrzał bój, w którym mieszczaństwo też oszalałe, w dzwony bijąc, słomę po drogach paląc, udział brało. Prowadzili oni opłotkami znanemi sobie oddziały Kozaków... Zagrzmiały działa i niemiecka piechota dostała kroku. Nie ustępowali napastnicy, ale też wojsko się złamać nie dawało.

Królowi przyszły na myśl owe obiecane posiłki, które nie nadciągały.

— Strzębosz! — obrócił się do stojącego przy sobie, a kipiącego chęcią wyrwania się do boju chłopaka. — Chcesz ty mi zasłużyć, próbuj... idź do wozów, ciurów i luźnych ludzi.. jest ich gromada, co się z założonemi rękami przypatrują daremnie. Dodaj im serca, zbierz do kupy, niech chwycą broni, co jest zapaśnej, lada opłotek od namiotu na żerdzi za chorągiew posłuży... Gdy nową siłę nadciągającą zobaczą, pierzchną może.

Zrozumiał wlot Dyzma przykazanie królewskie: spiął konia i pobiegł ku obozowi. Jednemu Bogu wiadomo jakich tam zażył argumentów, ale w niespełna pół godziny, niejaki Zabuski, stary żołnierz, który się ze Strzęboszem połączył, prowadził już pod płóciennemi chorągwiami z obrusów... wojsko z pachołków i ciurów zebrane, które z taką zajadłością do boju szło, jakby panów swych zawstydzić chciało. Zabuski z tą gromadą wpadł do miasteczka na Kozaków i w pierwszym impecie wysadzili ich precz z niego na pole, ale gdy tu za daleko się zapędzili, Kozactwo się opatrzyło, z kim ma do czynienia i poczęło okrutnie siec i rąbać. Dopiero dra-

gonia Pleśnickiego, Starosty Opoczyńskiego, na posiłek im przypadłszy, resztę uratowała.

Strzębosz, który razem z Zabuskim prowadził czeladź, nie opatrzył się aż w polu, że ksiądz Lisiecki, który z krzyżem w ręku między ciurów wpadłszy na koniu, najwięcej ich zagrzewał, napierw postrzelony nieszkodliwie, a potem, nie dając się odprowadzić, drugą i trzecią kulą przeszyty, padł na placu.

Skoczył ku niemu Dyzma, aby zpod konia ratować, ale gdy się nad nim pochylił, usłyszał tylko z ust skrwawionych.. dobywające się westchnienie ostatnie.

— Jezus—Marya—Józef.

Ks. Lisiecki nie żył.

Pod koniec dnia, wszyscy się na stanowiskach swych utrzymali, ale straty były ogromne. Uszli wprawdzie Tatarowie, pochowali się Kozacy. Zwycięztwo na oko pozostało przy królu, lecz oczy wodzów widziały już, że po takich kilku wiktoryach... obronić się nawale nie będzie podobna.

Gdy przyszło pod noc do obrachunku, płakał król nietylko swojego ukochanego kapelana, ale żołnierza najlepszego blizko dwu tysięcy, rotmistrzów i towarzyszów swych chorągwi czterdziestu siedmiu... i wielu najdzielniejszych z rycerstwa pospolitego. Wzięto jednego murzę tatarskiego i plugawego motłochu dosyć, ale tych nie żywiono...

Noc zapadła, król dziękczynne odprawiał modlitwy; w obozie dosyć ochoczo i raźno, opatrując rany, rozprawiano o dniu skończonym. Była to jedna z tych walk bez rozgłosu, bez widomego skutku, która więcej wysiłku, męztwa, ofiar kosztowała, niż niejedno świetne zwycięztwo.

Ossoliński, wszystko zważywszy... wczorajszą myśl Sobieskiego sobie przywłaszczył...

Wszedł do izbebki króla z czołem chmurnem.

— Bogu dziękujmy! — powitał go Jan Kazimierz — mam najlepszą otuchę. Posiłki nadejść muszą.

Zmilczał kanclerz.

— N. Panie — rzekł — i ja nie tracę nadziei, ale gdy szlachetnej krwi oszczędzić można... godzi się próbować.

Nie możemy się łudzić, trzymać się będziemy, ale zbaraskich naszych bohaterów nie odsieczem, a sami w końcu wycieńczeni—kto wie, czy coraz napływającym nowym posiłkom tatarskim wydołamy:

Król ręce rozkrzyżował.

— W Panu Zastępów nadzieja nasza!... — zawołał.

— Myślę — wtrącił Ossoliński — że się jednak godzi przynajmniej spróbować, azali cudem jakim nie oderwiemy im Tatarów. Tych kupić potrzeba.

— Jak? — zapytał król.

— Wyślę jeńca tatarskiego z listem do Islam Gereja. Zapytam go: dlaczego on, sprzymierzeniec Rzeczypospolitej, wierności jej nie dotrzymuje i z wrogami naszymi się łączy. Mam jakieś przeczucie, iż się w ten sposób uratować zdołamy.

Na pospolite ruszenie owo, niestety, rachować trudno. Kozactwo, samo sobie zostawione, Zbarażowi i nam czoła stawić nie będzie mogło.

Mam wysłać list? — spytał kanclerz...

— Trzebaż do dna wypić kielich upokorzenia? — odparł król.

— Nie będzie upokarzającem zapytanie, nie prosimy ich o nic.... Tatarzy ponieśli klęski, łupu niewiele zdobyli; damy im choćby ostatni grosz, abyśmy ich od Kozactwa odciągnęli.

Król się zadumał... nie odpowiadał.

— Oręża nie puścim z dłoni — dodał Ossoliński — lecz gdy krew złotem okupić można?

— Lękam się, aby mi plamą i grzechem to wezwanie Tatarów nie ciężyło — odezwał się powolnie — lecz szczędzić najdroższej krwi obowiązkiem... a Kozactwo złamać dla nas koniecznością, czyń—co Bóg natchnął...!

Westchnął Jan Kazimierz. — Nie chce Bóg pobłogosławić orężowi mojemu — szepnął smutnie. Stań się wola Jego!

Koniec tomu pierwszego.

TOM DRUGI.

I.

Spadł nad ranem deszcz na pobojowisko i obmył je, jakby łzami ciepłemi. Król wstał po krótkim wypoczynku, niespokojny; noc, trochę snu już w nim zapał wielki, ochotę do boju, nawet ufność w opiekę niebios ugasiła. Wstał z łoża ze zwątpieniem w duszy.

Rycerstwo, przeciwnie, dawało teraz dobry przykład męztwa i ofiarności, gdy Jan Kazimierz, który gorączkowo obiegał obóz, gotując się przelać krew, na duchu, był przybity i strwożony.

Miał też do tego smutnego usposobienia pobudek wiele; zabrakło mu do rannych modlitw i exercycyi pobożnych heroicznego ks. Lisieckiego, innych wielu zostało z nim na pobojowisku. Zamiast tego ukochanego kapłana wszedł, do mszy się sposobiąc, ks. Cieciszowski.

Nie śmiał pytać o tych, których nie widział na zwykłych miejscach, aby nie odebrać w odpowiedzi, od wczoraj ciągle powtarzającej się: Poległ...

Ze starszyzny pierwszy zjawił się ze smutnem, zasępionem obliczem Ossoliński, a król witając go, nieśmiało... zapytał cicho:

— Wistocie myślicie listem zwrócić się do Islam Gereja? Rozważałem to, nie wiem sam...

Zawahał się, spuścił oczy, niedokończył.

— List już nawet przez rannego jeńca odprawiłem do niego — rzekł kanclerz.

— Przyda się to na co? — mówił dalej Jan Kazimierz. — Jak się wam zda?

Ossoliński zlekka poruszył ramionami.

— Należało spróbować — odparł — chociaż zbyt zaufać nie można...

Westchnął król, zamilkł. Wszyscy dworacy, nawykli do tych zmian w panu swoim, postrzegli zaraz, że wstał innym, i że wczorajszy rycerz... przedzierzgnął się w trwożliwego niemal mnicha.

Ciągle prawie teraz modlił się i przyklękał... Siadł potem, jakby z musu, na konia, objechał obóz, prawie ust nie otwierając, i do chałupy powrócił z widocznym niepokojem...

Tatarowie dnia tego nie napadali całą siłą, Kozactwo też nieco się opodal trzymało, ucierano się tylko mniejszemi oddziałami na skrzydłach.

Jan Kazimierz po kilkakroć zwoływał do siebie tych, co mu o Ordzie mogli dać dokładniejszą wiadomość i w końcu rzekł do Ossolińskiego:

— Tatarów jest moc wielka, nam pospolite ruszenie nie dopisało; jeżeli się nie uda ich odciągnąć, a Kozacy z drugiej strony nacisną... zostaniemy osaczeni, jak Zbarażcy...

Kanclerz nic nie odpowiedział.

Jak owej pamiętnej nocy zapał i męztwo króla natychmiast na wojsko oddziałały i zagrzały je tak teraz wyraz twarzy, ruchy, szeptania i narady z Ossolińskim, odbiły się na dworze, na starszyznie i na wojsku. Zwątpienie, jeżeli nie strach, wkradało się w serca.

Z ciekawością wypatrywano przez dzień ten cały posłów biegających między obozem Islam Gereja a królewskim.

Z twarzy kanclerza trudno cóś było wnioskować; zawsze ona dumną i zadumaną ukazywała się ciekawym... wiedziano tylko, że bardzo był zajęty i że zebrawszy tłómaczów i skrybentów, którzy cośkolwiek po turecku i arabsku rozumieli, pracował z niemi. Pisano cóś i przepisywano.

Jowialista Skarszewski, wnosił z tego pocichu: „Zaczynają atrament rozlewać. Strach, aby po nim czarnych plam nie zostało!“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Marcu 1886 r.

Zaczynam od: *Pater, peccavi.* Odwołuję zarzut lekkomyślności, uczyniony w ostatnim liście moim naszemu społeczeństwu, z powodu wesołej wrzawy wywołanej pobytem Mierzwińskiego, która na tle smutnych i ciężkich czasów wydała mi się niewłaściwą. Nie był jeszcze wtedy zagrzmiał nad nami ponury głos kanclerza Niemiec, zapowiadający cały szereg klęsk mających w systemacie kanclerskim zgotować nam exterminacyą. Z d. 28 Stycznia zniknął weselszy nastrój umysłu, i to nie w samych tylko salonach warstw wyższych. Po wsiach i chatach jednaka żałobna powaga zastąpiła stale rozrywki zapustne, podobnie, jak i w miastach i miasteczkach. Jedna z najprzedniejszych matron naszej dzielnicy w szlachetnym popędzie wydała odezwę nawołującą do zaniechania wszelkiej płochej zabawy i kosztowniejszego zjazdu: wymownemi słowy zacna ta pani mówi nam, że powinniśmy teraz wejść w siebie, skupić swe siły i z godnością smutku i pracy, ładu i oszczędności, przygotować się na idące próby. Nawykła do zgodnego działania, społeczność nasza usłuchała tych haseł i z należytą powagą przetrwała epokę karnawałową bez najmniejszej zabawy. Doprawdy, może się nie mylą, ci optymiści, którzy zaręczają, iż nam próba chwili obecnej jeszcze gotowa wyjść na dobre, ogólnem zahartowaniem woli, tęgości charakteru i cierpliwości, i zobowiązaniem do tem skwapliwszego strzeżenia każdej piędzi ziemi, każdego grosza dochodu. Oszczędność i najpraktyczniejsze urządzenie życia dla urzeczywistnienia jej: oto dziś stałe temata rozmów cichych i głośnych narad. W wielu kołach i domach naszych dawniej już przyjęto hasło oszczędności i myślenia o jutrze. Nieprzechwalając się, powiedzieć nawet możemy, że od poważnego tła stosunków zaczynających się już ustalać w gospodarstwie pojedynczych rodzin i całej społeczności polskiej, odbija już dość jaskrawo — czy uwierzycie? — rozrzutność, dziwny jakiś animusz bezmyślnego używania wpośród tutejszych kolonistów niemieckich, większych i mniejszych. Nie należy wierzyć w utarte kommunały, które w niemieckiej „Hausfrau“, w niemieckim gospodarzu, upatrują wzór ładu domowego i skromnego życia. Było tak zapewne do niedawna, ale wszyscy dziś stanowczą na tem polu widzą zmianę. Nie wiadomo dokładnie, co spowodowało owo stopniowe przekształcenie się charakteru germańskiego: czy istotnie, jak twierdzą niektórzy, na obcym gruncie *kulturträger* niemiecki skłonnym do wynarodowienia się okazuje, zatracając dziedziczne przymioty swego plemienia? czy też, jak utrzymują inni, nadmiar powodzenia po zwycięzkiej wojnie francuzkiej w głowach im poprzewracał? Dość, że zmiana jest wyraźna, zwłaszcza w męzkiej połowie. Kobiety mniej nierównie odmieniły tryb zajęć i życia. Natomiast hulanki, przypominające nasze saskie czasy, są na porządku dziennym wśród niemieckich właścicieli w Księztwie Poznańskiem. Pijatyki i nakładowe gospodarstwo tylu już z nich doprowadziły do ruiny, lub, co najmniej, zawikłanych bardzo interesów, iż na wiadomość o stumilionowym kredycie wszyscy całą nadzieję zwrócili ku Berlinowi, wyglądając ztamtąd szybkiej a hojnej materyalnej pomocy. Czy ją otrzymają? Inna to kwestya, ponieważ cel byłby do pewnego stopnia chybionym gdy nie rozszerzano dalej zagonów krzyżackich. Lecz i tak, niestety! są one dość obszerne. Z powodu dyskussyi sejmowych, które ostatni tydzień Lutego zajęły, a otrzymały miano *Polenschlacht*, przyszło do ściślejszych obrachowań statystycznych. Znana brutalność liczb krwawo w tym przypadku wystąpiła: wbrew twierdzeniu naszych przeciwników, że żywioł polski się wzmaga kosztem niemieckiego, okazało się jawnie, iż ogółem w Poznańskiem

i Prusiech Zachodnich Niemcy dzierżą już o 20% więcej ziemi w dziedzinie większej własności, aniżeli Polacy. W samem Księztwie stosunek tak się przedstawia: naszych większych właścicieli jest zaledwie 649; podczas gdy Niemców doliczamy się 1010. Polacy posiadają 656,479 hektarów ziemi, Niemcy do 729,899. Oczywiście, dawniej już germanizowane *à outrance* Prussy owiele skrajniejsze przedstawiają liczby.

Posłowie nasi pięknie się z niewdzięcznego wywiązywali zadania: z niewdzięcznego, zaiste, skoro z góry wiedzieć można było, iż większość na każde skinienie kanclerza serwilistyczną okaże gotowość. Ks. prałat Stablewski w Izbie niższej, książę Ferdynand Radziwiłł w Izbie Panów, dobrze spełnili swój obowiązek. Dziwnem zrządzeniem, w chwili, gdy jeden z członków dostojnego a spokrewnionego z cesarzem domu staczył w sejmie słowną pruskim walkę w obronie ziomków, drugiemu przyszło podejmować w Nieświeżu młodego ks. Wilhelma, syna następcy tronu. Po tym ostatnim bliżsi spodziewają zupełnej zmiany w polityce kanclerskiej.

Dzielnego poparcia udzielali naszym posłom członkowie środka, argumenta zaś stron przeciwnych tak były wątłe, słabe i nawet śmieszne, że godząca się w zasadzie na wolę potężnego kanclerza Izba homerycznym śmiechem przyjmowała nieraz mówców z jego ramienia się odzywających. Ministrowi rolnictwa dostało się dowcipne miano *Lucius a non lucendo* z powodu jego mętnego i chwiejnego wystąpienia, kollega zaś jego Gossler, tak długie pasmo podrzędnych plotek i komerarzy osobistych snuł w przydłuższej swej mowie, iż samej nawet godności trybuny parlamentarnej uchybił.

Cokolwiekbądź, ciężkich dożyliśmy czasów, ale w Bogu i we własnej woli nadzieja, że je przetrwamy mimo najlepszych chęci naszych wrogów. Poseł Windthorst, znakomity przywódzca Centrum, świeżo powiedział, iż katolicy w państwie pruskiem traktowani są jako poddani II klassy. A co o naszem położeniu powiedzieć? Konstytucya tych klassyfikacyi nie znała; wszystko to uważanem też być może za zamachy na jej całość. Socyaliści zacierają ręce; powtarzają, że kanclerz w połowie własną ich robotę spełnia. A chyba jesteśmy już i na drodze kommunizmu; tylko bowiem założyciele falansterów śmieli targać się na swobodę zawiązywania małżeńskich węzłów. Tu zaś otrzymaliśmy już wyraźną zapowiedź, iż państwo bronić będzie urzędnikom i kolonistom niemieckim poślubienia Polki, nawzajem zaś wypadnie osiadłych w Niemczech Polaków z szwabkami swatać.

Chociaż mi serce pęka—śmiech mnie bierze

wołał przed laty Słowacki. .

Nie było tedy zapustnego zjazdu w Poznaniu. Natomiast, ponieważ ludzie pracy potrzebują trochę wytchnienia i godziwej rozrywki, dodatnim objawem ostatnich miesięcy była wielka liczba przedstawień amatorskich na cele dobroczynne, w każdem niemal miasteczku naszej dzielnicy. Małomiejskie obywatelstwo, rzemieślnicy, czeladź katolicka, mająca tu liczne stowarzyszenia, w ten szlachetny sposób urozmaicenia pracowitej zimy szukała. Ponieważ zaś nadzwyczaj ostre i długotrwałe mrozy zaostrzyły też potrzeby ubóztwa, nie małą więc ulgę i pomoc zapewniono biednym rodzinom zbiorowemi usiłowaniami amatorów, wywiązujących się nieraz wybornie z swej roli. Zamiast tedy centralizować się w kilkodniowej poznańskiej zapustnej zawierusze, życie towarzyskie rozbiło się tym razem w tysiączne ogniska, z korzyścią dla ogółu, a powagą nakazaną przez obecną ciężką chwilę.

Marzec jest zwykle miesiącem zjazdów i zebrań obywatelskich w naszej dzielnicy. Usprawiedliwiona o dalszy los tych instytucyi obawa, tem liczniej gromadzi stroskanych członków przeróżnych stowarzyszeń. W tej chwili obradują kółka włościańskie, towarzystwo rolnicze, Pomoc naukowa. Co rocznych udzielając wam sprawozdań z ich działalności, w tym roku zaniecham streszczenia odgłosów tak dobroczynnych instytucyi. Natomiast wspomnę o towarzystwie ku wspieraniu urzędników gospodarskich, które dopiero co obchodziło dwudziestopięcioletni jubileusz swego istnienia. Powstało ono na wzór podobnego związku szlązkiego i już najlepsze wydaje owoce. Członkami są przeważnie sami urzędnicy gospodarscy, na bratniej pomocy opierając całe swe działanie i fundusze. Stworzyły tę instytucye zabiegi naszego zacnego obywatelstwa, przodującego zawsze w każdej poczciwej robocie. Dziś jeszcze pojedynczym, powiatowym sekcyom przewodniczą właściciele ziemscy. Celem zaś ogólnym jest podniesienie stanu urzędników gospodarskich, zapewnienie emerytur starcom i wdowom i zobopólna moralna kontrola członków. Niegodnego lub nieuczciwego natychmiast z pośród siebie wyrzucają. To też rzeczone towarzystwo nie mało się przyczyniło do podniesienia poziomu tej warstwy pracowników. Można prawie ogólnie dziś postawić pewnik, iż typ ekonoma złodzieja niepowrotnie u nas zaginął. Bywają mniej lub więcej zdolni; niéma bodaj już niesumiennych. Członków liczy obecnie Towarzystwo 553. Majątek dorasta 80,000 marek, co też pozwoliło w ostatnim roku 57 udzielić emerytur, a sześć wsparć jednorazowych. Biuro Towarzystwa służy także za pośrednika w umieszczaniu urzędników i najpewniejszą bywa to drogą do otrzymania dobrego i zdolnego rządcy. Ta jedna zachodzi trudność, iż przy ogólnem zacieśnieniu stosunków właściciele ziemscy głównie poszukują kawalerów, podczas gdy większość członków towarzystwa z żonatych składa się ludzi. Prąd niebezpieczny a przeciwny życiu rodzinnemu i na tem polu się objawia, z obustronną krzywdą; wiadomo bowiem, ile ustalone osobiście stosunki wpływają na unormowanie życia i pracy.

Zpomiędzy nowości literackich zaledwie widzimy tu nową pracę niezmordowanego XVIII wieku znawcy i badacza. P. t. *Z saskich czasów*, p. Kazimierz Jarochowski zebrał w jednę całość odczyty w gronie Przyjaciół Nauk wygłaszane. Nie brakło i w ciągu tej zimy posiedzeń uczonego grona. Hr. Cieszkowski przekłada swym towarzyszom pracy osobiście dokonane w archiwum weneckim zdobycze, dotyczące stosunków z naszą Rzeczopospolitą. Ks. Korytkowski z galeryi Prymasów wyjmuje piękny wizerunek Floryana Czartoryskiego, rzadkiej cnoty pasterza. Obecnie odczyty publiczne gromadzą licznych słuchaczy. P. Alfons Parczewski zaznajamia nas z dziejami naszych czeskich pobratymców, przybywając z jałmużną słowa do Poznania. Zapowiadają nam i odwiedziny krakowskich professorów i prelegentów. — Czasopism obecnie ma być do czterdziestu pięciu, w Prussiech Zachodnich, na Szlązku i w Księztwie; dwadzieścia cztery na Poznańskie przypada przemaga zaś w nich zacnym zdrowy kierunek. Większość pism ludowych stoi liczbą prenumeratorów włościan; potrzeba duchowej strawy i czytania nie zmniejsza się u naszego ludu. Z wielką trwogą przyjęto tu zapowiedź ustanowienia przymusowych szkół uzupełniających, zwanych *Fortbildungschulen*, a przeznaczonych dla młodzieży rzemieślniczej aż do ośmnastego roku życia. Obecnie dziecko z czternastym rokiem opuszczało szkołę, i natychmiast własnym zarobkiem przysparzało dobrobytu rodzinie. Ztąd nieraz liczne potomstwo nawet materyalnie rychło wzbogacało rodziców. Teraz między przymusem szkolnym a przymusem wojskowym nie zostanie już bodaj wolnego czasu i nowe porządki większe jeszcze ubóztwo pod strzechy nasze wprowadzą, zwłaszcza po miasteczkach, które mają najpierwsze zażyć tego mniemanego dobrodziejstwa. Materyalne i moralne szwanki wciąż się u nas splatają. To też grunt podkopany za nie dość już stały uważają zamieszkali wśród nas Żydzi. Wszędzie widać ubytek gmin izraelskich, nie samemi tylko wydaleniami obcych poddanych sprawiony. Czyżby, jak pewne roztropne ptaki, opuszczali gmach, w który grom ma uderzyć?

RUCH MUZYCZNY.

Dzisiejsze nasze sprawozdanie zaczniemy od chwil najbliższych z ubiegłych czasów, a to dlatego, że rzeczywiście najbardziej nam ciążą na sercu i chcielibyśmy już o nich zapomnieć. Od paru tygodni na repertoarze teatralnym często figurowała wznowiona opera „Lohengrin“ Wagnera, w której-to miał pierwszy raz wystąpić p. Moszkowitz, *tenore di forza*, sprowadzony z zagranicy przez Dyrekcyą Teatrów za pośrednictwem p. Rebiczka.

Ciekawi byliśmy jak się też powiodło Dyrekcyi zastąpić p. Cieślewskiego nową siłą artystyczną, która nie dopuściłaby żalu po pracowitym i sumiennym śpiewaku, jakim był p. C. na naszej scenie. To też złorzeczyliśmy uporczywej niedyspozycyi, jakiej uległ p. Moszkowitz, opóźniając przez to wystawienie opery; aż wreszcie w zeszłym tygodniu byliśmy i my widzami tego arcy-ciekawego przedstawienia. Gdybyśmy nie wierzyli w poczciwe intencye Dyrekcyi Teatrów dla sceny naszej, moglibyśmy sądzić, że dąży do zatracenia opery przez angażowanie nieudolnych a usuwanie pożytecznych artystów; nie sądzimy jednak, by tak było: prawdopodobnie zawiodła się na p. Moszkowitzu, polegając na czyjejś nieuczciwej rekommendacyi, albowiem jestto śpiewak z głosem gardłowym, a raczej bez głosu, nic a nic nie umiejący śpiewać, gra zaś jego niezgrabna, często śmieszna, jak dyletanta pierwszy raz występującego na scenie, najmniej nawet wymagających widzów nie jest zdolną zadowolić.

P. Rebiczek, który tak chlubnie zarekommendował się w koncertach symfonicznych, uczynił nam także nieprzyjemną niespodziankę, przedstawiając się w zupełnie innym, niż dotąd, świetle. Potrzeba było usilnie przypominać sobie dawne jego zasługi i dowody umiejętności dyrektorskiej, by nie dojść do stanowczego przekonania, że jestto tylko rutynista, niezdolny do wystawienia takiej opery jak „Lohengrin“, w której nie wystarcza wytressowanie techniczne sił wykonawczych, lecz trzeba natchnąć je własnem intelligentnem pojęciem. P. Rebiczek nie zadał sobie trudu, by zrozumieć partycyą, gdyż w jego interpretacyi było tyle trywialności i hałaśliwej monotomii, bez wyszukania punktów kulminacyjnych i odpowiedniego przygotowania ich, by stały się effektownemi, że z trudem rozpoznawaliśmy dzieło, które, wystawione przed laty przez dyrektora Trombiniego, tak miłe nam pozostawiło wspomnienia.

Panna Jelinkówna, młodziutka sopranistka, występująca gościnnie w operze naszej, brała także udział w „Lohengrinie.“ Mówiąc szczerze, nie jest to dla niej rola, gdyż głos jej jako zbyt surowy i będący właśnie w fazie wyrabiania się, nie tylko że nie odpowiada tak forsownemu zadaniu, lecz może bardzo ucierpieć na brzmieniu: szkoda więc, że kto z życzliwych nie przestrzeże śpiewaczki, by głos swój więcej teraz poddała studyom, a mniej forsowała muzyką wagnerowską. Reszta występujących w tej operze artystów, to jest: panna Szczepkowska oraz pp. Seideman, Chodakowski, Aleksandrowicz—czynili co mogli, by osłodzić publiczności zawód doznany, lecz i oni tego wieczora byli pod klątwą nieszczęsnego fatum, tak, iż tylko jeden p. Chodakowski bez zarzutu swą niewielką partyą wykonał.

Wypowiedziawszy, co było można, o przedstawieniu Lohengrina, które dostarczyło nam znacznie więcej ujemnych, niż dodatnich wrażeń, miło jest cofnąć się ku pięknym chwilom, które będą się liczyć do najświetniejszych w ostatnim muzycznym sezonie.

Pani Kochańska trzykrotnie dała się słyszeć w dwóch koncertach i w „Łucyi z Lamermooru.“

Zaiste, w kłopocie jest sprawozdawca, co powiedzieć Warszawiakom o Kochańskiej, w jakiejby tu nowej formie powtórzyć pochwały, a raczej zachwyt jednomyślnych tym razem krytyków, artystów i publiczności. Zdaje się, że pomimo oklasków i zachwytu, występy znakomitej artyst-

ki u nas, na naszej ubożuchnej scenie, nie dodadzą wiele świetności do jej ustalonej sławy; że to nam chlubić się i chwalić należy z tego, iż artystka jest naszą rodaczką, rodzinnym polskim słowikiem, obdarzonym od natury cudownym, perlistym, kryształowym głosem, w któryby można zasłuchać się bez opamiętania. Lecz głos, jakeśmy rzekli, to dar natury, to dopiero materyał, który potrzeba było wydoskonalić, wyrobić, wyrzeźbić. Owoż za pracę i studya sumienne, za ten drugi warunek artyzmu, należy się p. Kochańskiej największe uznanie. Oczarowani byliśmy, słuchając aryi obłąkania w akcie III-m Łucyi, gdzie figuracye instrumentalne, powtarzane były w śpiewie z giętkością i powiewnością nieporównaną; prócz tego sama artystka nagromadziła w kadencyach i waryacyach najrozmaitsze popisowe effekta, pokonywając je mistrzowsko.

Są to trudności, które niezawsze umie ocenić niewtajemniczone auditoryum, lubujące się jedynie wdziękiem, swobodą i lekkością, z jaką artysta głos swój nagina, a niezastanawiając się: po jakich to mozolnych stopniach kroczyć musi każdy talent, by dojść do szczytu pewnej doskonałości. U nas, niestety, niéma pola do kształcenia się dla talentów, o dobrej szkole śpiewu nie mamy wyobrażenia: przeto artyści nasi zagranicą odbywać muszą studya bardzo kosztowne. Kto wie: czy potem należy im mieć za złe, że pracę i trudy powetować sobie chcą szerszą sławą i są tylko rzadkimi gośćmi w naszym pseudo-muzykalnym kraju. Mniejszej sławy, mniej imponującą czarami głosu, lecz równie znakomitą artystką we właściwym sobie kierunku, jest panna Barbi, która wśród zamieci śnieżnej na wiedziła Warszawę w towarzystwie p. Cesi, fortepianisty. Artystka, niehołdująca tegoczesnej muzyce wokalnej, odtwarza arye z XVI i XVII stulecia z głęboką intelligencyą i wdziękiem. Delikatne cieniowanie, wykończenie każdej frazy w brzmieniu okrągłem, dźwięcznem, klassyczny spokój i dowcip naprzemian, śliczna deklamacya, czynią z jej śpiewu jakiś wytwór subtelny, elegancki a szlachetny, na którym wiele artystek koncertowych, powinnoby się wzorować.

Po długoletniej wędrówce zagranicą powtórnie zawitały do Warszawy p.p. Wanda i Jadwiga Bulewskie, a chociaż koncerty ich nie mogą się liczyć do artystycznych występów ze względu na czysto dyletancki rodzaj gry wirtuozek, jednakże z innych powodów publiczność nasza otacza je swą sympatyą i życzliwością. Tym razem jednak z przyjemnością możemy zaznaczyć, że p. Jadwiga Bulewska wiolonistka, wykazała pewien postęp, nie wielki, lecz zawsze postęp. Szkoda, że widoczne swoje zdolności marnuje na wypracowywanie repertoaru koncertowego, zamiast postarać się o ujęcie ich w ściślejszą szkołę, która usunęłaby wszelką niepotrzebną przesadę i zbytnią czułostkowość.

Zupełnie przeciwny kierunek pracy, przedstawiła nam młoda wirtuozka na skrzypcach, panna Soldat. Tu znowu podziwialiśmy nieskazitelną poprawność gry, wypływającą z gruntownie przeprowadzonych studyów. Mistrzem jej był Joachim; ona zaś, z zadziwiającym w jej wieku krytycyzmem, przejęła jego powagę i namaszczenie w traktowaniu sztuki, to też na tak silnej podstawie może śmiało budować swą przyszłość artystyczną, przyszłość świetną, dającą słuszną nagrodę za podjętą poważną pracę. Obecnie jest to jeszcze uczennica, od której nie można wymagać zupełnej indywidualności, dającej odrębny typ grze; w wykonywaniu jednak dzieł Mendelssohna i Spohra odznaczyła się szlachetnem pojęciem i sumienną techniką.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słówko o muzyce Noskowskiego do „Chaty za wsią.“ Jakkolwiek przedstawienie tej sztuki nie jest faktem z ostatniej chwili, nie może się jednak zaliczać do przeszłości, ponieważ aż nadto wiele posiada korzystnych warunków do utrzymania się na naszej scenie. Jednym z tych korzystnych warunków jest ładna i poetyczna muzyka. Opracowana ze zwykłą Noskowskiemu starannością i dowcipem, już to charakterystycznemi motywami podnosi koloryt dramatu (taniec cygański, chóry), już to rozlewa poetyczny urok na obrazy natury, jak intermezzo w III akcie, efektownie później skontrastowane oddźwiękami cygańskiej kapeli. Bogata gra uczuć dostarcza Noskowskiemu treści pod muzykę, a nam przypomina świetne zasoby jego talentu i umiejętności.

Juliusz Stattler.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Marcu.

Tutejsze stosunki. — Brak życia towarzyskiego. — Brak zwyczajów i obyczajów.—Jak sobie radzą. — Nadzwyczajności zapustne.

(?) Czy pisać wam o zimie, o zaspach śnieżnych, które dla całej armii zamiataczy dostarczyły przecież niespodziewanego kawałka chleba? Znacie lepiej te rzeczy i macie je u siebie. Czy pisać o karnawale, który niewątpliwie był tam już dla was za długim, a tak nie w porę, wobec coraz gwałtowniejszych *razzii*, które w sposób godny narodu uczonych zostały nazimno w systemat ujęte i jako prawo proklamowane. Lecz trudno! i kronikarz musi spłacić dług zwyczajowi, a zwyczaj ten ma też i dobre swoje strony. Rozrywka i śmiech mogą działać hygienicznie, utrzymywać równowagę umysłową, podtrzymywać ochotę do życia, zapobiegać zniechęceniu. Rozmaite jest działanie rozrywek, względnie do miejsca, czasu i ludzi. Tutaj w Wiedniu są one wyrazem beztroski,—usposobienia, które nie chce, nie lubi i nie umie się zastanawiać, które pod pojęciem życia rozumie tylko użycie. Usposobienie to, które tu cały rok panuje, gdyż ludność nie może być inną, niż jest, święci przecież w karnawale swoje tryumfy nadzwyczajne. Jest po temu jeden szczególny powód, właściwy i miejscowy, którego gdzieindziej niéma, mianowicie: brak wyrobionych i przyjętych zwyczajów. Dawne zatarły się już prawie zupełnie wskutek przekształcenia miasta i falowania napływowej ludności; nowe nie mogły się wyrobić wśród przeróżnych żywiołów ludność składających. Jednakże żywioły te przyswoiły sobie główny rys tradycyjny dawnego Wiednia, łatwość życia, osobliwą *insouciance* Gdy zaś dla niej utartych zwyczajów niéma, więc stosunki i warunki i warunki sprzyjające stwarzać sobie musi, a do tego karnawał najlepiej się nadaje.

Każdy dzień to uroczystość; każda noc—dniem. Słownik i rodzaje zabaw są nieprzebrane; w żadnej stolicy niéma tylu odmian, co roku przybywają nowe do tych, które są szablonowe: więc maskowe, kostiumowe, chłopskie, wyborowe (elite), domowe, dworskie,—wieczory, wieczorki wszelakich professyi, obdartusów, błazeńskie i t. d. ale tu zaraz trzeba dodać, że domowe, prócz tak zwanych, dla dzieci, nie odbywają się po domach. W oknach domów niéma świateł, muzyki nie słychać, niéma odpowiednich mieszkań, niktby sobie subjekcyi nie robił, zresztą nie wolno muzykować tylko do g. 10 wieczorem. więc zaprasza się gości do jakiejś sali w hotelu. Otóż, gdyby kto sądził, że ta powódź zabaw, jest to objaw lub wynik żywych towarzyskich stosunków, byłby to wniosek zupełnie mylny. Przyczyna jest wręcz właśnie przeciwna. Zupełny brak życia i stałych zwyczajów towarzyskich sprawia, że karnawał musi wynagrodzić to, co przez cały rok bywa zaniedbanem. Lecz to wyłącznie karnawałowe obcowanie towarzyskie, ta wrzawa tłumna, gwałtowna i sztuczna, to nie jest normalny ruch ani go nie wywołuje. Z karnawałem ustaje wszelkie towarzyskie obcowanie, wracają dwa objawy: Wiedeńki, które na ulicy, w ogrodzie są zgrabne, fertyczne, wdzięczne—w salonie, jako nie nawykłe do towarzystwa, źle się wydają; umieją tańczyć dobrze walca, ale nie umieją siedzieć, ani chodzić, ani ubrać się w toaletę właściwą; są żenowane, ciasno im, a rozmowa tylko pusta, lekka jest z niemi możliwą. Drugim objawem jest niezmierna ilość „towarzystw“ zawiązywanych pod nazwami nieraz najdziwaczniejszemi, które mają na celu tylko zabawę, tylko wymyślanie sposobów, żeby ludzi razem sprowadzać, żeby przecie życie towarzyskie tworzyć i podtrzymywać. Figle, *gschnas*, śpiewy, muzyka, deklamacye humorystyczne (są osobne w tym celu zbiory), taniec, wycieczki, maskarady, to sposoby i wabiki—a zużywają one niesłychane zapasy talentów wszelkiego rodzaju, dowcipów, które ostatecznie w tym ciasnym świecie się wyczerpują, jałowieją i stają się banalnemi. Wobec setek tych „vereinów“ klubów, mających swoje lokale stałe, lub wędrowne, które ściągają swoję publiczność, nie może ani powstać, ani też nie mogłoby się ostać prawdziwe towarzyskie, domowe, w naszem pojęciu obcowanie. Salonu niéma też w Wiedniu ani jednego; są domy, gdzie są stałe partye kwartetowe, albo karciane; bywają, na wzór angielski, herbaty popołudniowe, uczęszczane prawie wyłącznie przez kobiety ze szczupłego pewnego grona, ale niéma to ani podobieństwa żadnego, ani pretensyi do salonu. Cały przedmiot dnia jest też w Wiedniu taki, że na towarzyski ruch nie ma czasu.

Niéma tu jednego stałego zegaru.

Obiad bywa od 12 poł. do 6 w wieczór, każda rodzina o innej godzinie; nigdy nie wiadomo, kiedy-by można komu złożyć bodaj etykietalną wizytę; tylko godzina teatru jest stałą: 7 w., koniec o 10-tej, a po teatrze albo kolacya w restauracyi albo spanie odrazu. Czas dla towarzyskich odwiedzin dłuższych zaczyna się na zachodzie po obiedzie, wieczorem w Wiedniu przypada wtedy kolacya, a przecież na kolacyą nikogoby tu nie przyjęto. Salon z kolacyą, to coś dla Wiednia tak dziwnego, nieznanego, kosztownego, zgoła niemożliwego, że na ten trud i kłopot, żadna Wiedeńka namówić-by się nie dała. Salon bez kolacyi, urządzić trudno, a cóż dopiero w Wiedniu, który dotąd przeważnie nie zna herbaty! Zdaje mi się, już raz zauważyłem, że gdzie panuje piwo, tam nie może być mowy o towarzystwie w domu; wieczornym zebraniom sprzyja najwięcej herbata.

Brak salonów sprowadza ten skutek, że różnice stanów są tutaj jeszcze zbyt wyraźne, nietylko między arystokracyą a mieszczaństwem, ale wśród samego mieszczaństwa jest mnóztwo odgradzających murów. Skutek ten staje się znowu przyczyną, że usiłowania wytworzenia mieszanego towarzystwa nigdy się tu nie udadzą, chyba aż się ludność cała zmieni. A jeżeli już zbierze się dla jakiegoś powodu towarzystwo mieszane, to rozpada się zaraz na dworaków, mężczyzn i kobiety, które otaczają i biją czołem przed excellencyą, przed p. hrabią, czy baronem, cz przed p. generalnym, dyrektorem lub artystką, a nawet przed artystą. Osobistości te obecnością swoją paraliżują tu całą swobodę obcowania, tak dalece jest tutejsza ludność do towarzystwa nie przyzwyczajoną. Szczególnie też aktorzy i aktorki są tutaj takiemi bożkami; obok nich grupuje się tłum hołdowniczy—a zwykłe śmiertelniki nudzą się i tylko pragną wydostać się coprędzej z niewoli towarzystwa. Arystokracya pieniężna zgromadza czasem mieszane towarzystwo; są tam produkcye, wystawa toalet, świetny bufet, jest popis, ale towarzystwa niéma; każdy taki wieczór, to chwila bez żadnych następstw; rok przejdzie, a ci ludzie znowu razem się nie znajdą. Więc są społeczne i towarzyskie rozdrobnienia i odrębności, różnice stanów i różnice setnych odmian *vereinów*. Napozór życie wre, kipi,—wrzawy, gwaru, konceptów, śmiechu, relacyi po dziennikach mnóztwo; ale obcowania towarzyskiego, szlachetnego, pogodnego, swobodnego, a stałego niéma zgoła ani śladu. Obcego może pozór łudzić, może mu się Wiedeń wydawać miastem najmilszem, najruchliwszem; ale niech-no pobędzie dłużej, a przekona się, że jeżeli się do osobliwych manier i szczególności jakiegoś kółka nie dostroi, nigdzie miejsca dla siebie nie znajdzie. I przekona się, że po roku i po latach nie znalazł sposobu, żeby się zapoznał bodaj lepiej z szerszemi kołami—prócz w klubach męzkich, karcianych, które są antitezą towarzyskości właściwej. I jest to jeszcze właściwością

tutejszej ludności; że ona wskutek ciągłych, ułomnych poza domowych zebrań, braku towarzystwa nie czuje i kiedy się tu z ludźmi o tem mówi, nie rozumieją wcale o co idzie. Im wystarcza wrzawa pozadomowa; nic lepszego, wyższego nie zakosztowali jeszcze, nie są do niczego lepszego wcale wychowani.

Więc, jak wspomniałem, karnawał musi wypełnić wszelkie luki i potrzeby, przeciąga się w post, a ustaje właściwie dopiero, gdy już się wyjazdy zaczynają.

Po takiem określeniu stosunków i życia tutejszego, łatwo będzie przedstawić sobie: jakie znaczenie mają tu nadzwyczajne, rokrocznie podczas karnawału urządzane zabawy. Są one istotnie nadzwyczajne, gdyż wszystkie najlepsze siły artystyczne, malarze, rzeźbiarze, muzycy, śpiewacy, a zarazem siły finansowe współdziałają, żeby zawsze przyszło do skutku dzieło znakomite pod trzema względami: pod względem zabawy i humoru, pod względem sztuki i wreszcie pod względem dochodu. Z tegorocznych odznaczyły się głównie trzy. Pierwszą była maskarada na lodzie, niezliczone gruppy charakterystyczne wszelkich ras i ubiorów ludzkich, oraz grupy zwierząt, zamki i groty ze śniegu i lodu, muzyka, elektryczne oświetlenie. Nadzwyczajna zima tegoroczna sprzyjała pomysłowi i trzeba zauważyć, że lód jest tu jedynym salonem powszechnym; w tej zabawie biorą równy udział wszelkie warstwy ludności, począwszy od członków domu panującego.

Drugą nadzwyczajnością był niderlandzki kiermasz z XVII w. Wyobraźcie sobie szereg sal, przedsionków i kurrytarzy, które przedstawiają, zapomocą wybornych dekoracyi, ulice, place i najcelniejsze budowle i porty niderlandzkie; publiczności zaś kilka tysięcy przedstawia wszelkie cechy, gildy, studentów, wojsko, osoby historyczne z portretową maską, grupy z najcelniejszych obrazów niderlandzkich i samych malarzy. Nietrwała ta zabawa jedną noc, lecz kilka tygodni, gdyż potrzeba było tyle czasu, żeby wszystko urządzić, dostarczać wzorów malowanych do każdego ubioru, potworzyć grupy, odbyć próby, a potem było całe urządzenie przez dwa tygodnie i oglądanie za opłatą wstępu. Wydano kilkanaście tysięcy, ale zebrano dwa razy tyle i kasa „domu sztuki“ obficie zasiloną została. Ta praktyczność tych zabaw jest godną naśladowania i łatwą do naśladowania. Artyści rej wiodą; początek takim zabawom dał Makart; publiczność jest mu wdzięczna za interessującą zabawę, a dla sztuki pozostaje znaczny dochód.

Trzecią nadzwyczajnością był wieczór błazeński słynnego wiedeńskiego towarzystwa śpiewu, które produkowało się już w Berlinie w Dreznie, w Bruxelli, a tego roku wybiera się do Ameryki. Tutaj była dziedzina już nie estetyki, lecz wyłącznie humoru, żartu i nawet płaskiego błazeństwa. Tutaj można było poznać najlepiej, co to za „lekka krew“ jest publiczność wiedeńska. Konceptów moc niezliczona; wyliczyć ich nawet niepodobna. Więc Barnuma amerykańskie biuro podróży, biuro wywiadowcze, małżeńskie, kantory wexlowe, wszelkiego rodzaju wyprzedaże niżej ceny fabrycznej, towarzystwo akcyjne, założenie miasta śpiewu w Ameryce i t. d. Ten ostatni pomysł wykonany został z fantazyą Verne'a. Wszystko tam śpiewackie, a obok *avenue tenorów* instytut wylęgu jaj, których miliony śpiewacy połykają. Wyszedł *ad hoc* osobny Bedaecker oprowadzający po tem mieście. Były grupy zamiataczy śniegu, lamp gazowych, zamki na lodzie, które były satyrą na wszelkie niedostatki stolicy i jej magistratu, kumoszki loteryjne, urząd podatkowy, a może największa zmowa była około grupy „Pojednanie ludów” Czescy muzykanci grali niemieckie pieśni, deutschmeistry z Czeszkami, Polski Żyd z Tyrolką, Bismark pod ramię z Polką itd. Był też i lanszturm, pospolite ruszenie według niby nowej ustawy. Rozpoczynali pochód żaki z teczkami i piszczałkami, a kończyli weterani o jednej nodze, na drewnianych koniach. *Arrangeur* tańców spadł balonem z chmur. Piekielny wrzask i chaos ustawały tylko podczas śpiewów chórów, lub komicznego kwartetu. Wszystko odbywało się pod godłem „Wisi cóś w powietrzu”, a oczywiście, że obmyślenie tej szalonej nocy wymagało także kilku tygodni przygotowań, które zwykle tak są same przez się zabawne, jak próby dla amatorskich teatrów.

Zabawy tego rodzaju są przedmiotem zajęcia, cały rok potem, i niewątpliwie już teraz *arrangeurowie* obmyślają koncepta na rok przyszły.

Sens z tego wszystkiego taki, że w braku towarzystwa naturalnego, stałego, zastępują je tu surogaty, sztuczne, nadzwyczajne, obmyślane, coraz to inne, a przejawia się w nich niezmierna ochota do życia t. z. Lebenslust, która jest najgłówniejszem znamieniem tutejszej ludności. Godzi się ta ochota z chwytaniem wszelkich wrażeń artystycznych i przez artystyczne formy utrzymuje się w granicach dobrego smaku, przynajmniej po większej części, lecz taka jaka jest wyklucza ona zupełnie wszelkie poważne poglądy na życie społeczeństwa i narodu.

Bal Polski i wieczorki mazurowe, lubo na obcym gruncie stały się tutaj już zwyczajowemi. Odznaczają się elegancyą pomimo rzeczywistej swobodnej zabawy, i damy dostają zawsze artystyczne karneciki, które wsławiły już Rybkowskiego. Dochód z tegorocznego balu oddany został przeważnie na wygnańców z Prus. Udział w Balu Polskim arcks. Stefanii, następczyni tronu, i kilku arcyksiążąt dodał mu tego roku szczególnego blasku.

WIADOMOŚCI Z HYGIENY.

Odzienie w ogólności. — Odzienie jako ochrona od zimna.— Odzienie jako przewodnik elektryczności, wilgoci. — Inne własności fizyczne odzienia.—Metoda D ra Jaegera. —Kolor odzienia. —Forma jego. — Moda i odzienie.—Odzienie co do części ciała, jakie odziewa; co do wieku; płci (gorset); co do ogólnego stanu zdrowia; co do pracy dnia, (pościel); co do pory roku.—Czystość odzienia.

(Dalszy ciąg).

Tułów, czyli korpus ciała powinien być w ten sposób odzianym, aby żadna część odzienia nie sprawiała ucisku w przeciwnym bowiem razie wywiera szkodliwy wpływ na tak ważne funkcye jakiemi są krążenie krwi oddychanie i trawienie. Ściskając klatkę piersiową przeszkadzamy swobodnemu rozszerzaniu się płuc i serca; wywierając ucisk na brzuch, opóźniamy trawienie, które odbywa się w żołądku i kiszkach. Nie podobna w dzisiejszych warunkach socyalnych i klimatycznych odziewać się w starożytne togi, ale należy przedewszystkiem zwrócić uwagę, aby odzienie było wygodnem, aby nie krępowało organów wewnętrznych i ruchów ciała jakie wykonywać winno. Najwłaściwiej dla zdrowych, jest na spodnie odzienie używać płótna lub kretonu na wierzchnie zaś wyrobów wełnianych a w razie jeżeli te są niewystarczającemi —futra.

Dla zabezpieczenia rąk i nóg mamy rękawiczki, pończochy i buty. Rękawiczki nietylko zabezpieczają ręce od zimna, ale zachowują delikatność skóry, a temsamem jej czułość, która w bardzo wielu professyach jest niezbędną. Zabezpieczają skórę rąk od przykrych i bolesnych popękań, które często powstają, wyszedłszy po obmyciu rąk z pokoju. A mają jeszcze i tę dobrą stronę że chronią od dotknięcia przy powitaniu i pożegnaniu z osobami, które mają nieprzyjemne ręce Nazywam nieprzyjemną rękę, która jest zimną i wilgotną a której dotknięcie sprawia prawdziwy wstręt nawet osobom najmniej wrażliwym i brzydzącym się, nie podobna przy okazyi nie wspomnieć, że są choroby skóry, które za dotknięciem mogą być przeniesionemi z chorej ręki na zdrową, jak świerzbiączka (scabies).

Jeżeli inkwizycya średniowieczna potrafiła być inwencyjną w wynajdywaniu tortur i katuszy dla rodu ludzkiego: to moda, wszechwładna pani XIX wieku, w niczem jej nie ustąpiła, przepisując potworne obuwie, krępujące nasze nogi, szpecące tę część ciała naszego, utrudniające krążenie krwi i wywołujące cierpienie zwane odciskami. Wszystko to dla tego, aby noga była małą i zgrabną. Czy uczyniła tu drugie—nie tu miejsce sądzić, ale że dopięła pierwszego,—niéma wątpliwości. Absurdem nad absurdami są wysokie obcasy, dwucalowe korki, wązkie nosy, zbyt grube lub zbyt cienkie podeszwy. Z prawdziwą pociechą wyznać należy, że moda paru ostatnich lat poczęła choć w części iść w parze z hygieną. Zarzucono obcasy i korki, gdyby tak jeszcze trochę rozszerzyć nosy butów i trzewików a uniknionoby niejednego cierpienia. Jeżeli podwiązki są już nieuniknione, baczyć wypada, aby nie były zbyt ciasne i aby je noszono powyżej kolana, w tem miejscu bowiem naczynia krwionośne są głębiej położone i nie tak łatwo mogą być uciśnionemi.

Na tem kończymy uwagi ogólne tyczące się odzienia, a teraz przyjrzyjmy się jakiem ono być winno odnośnie do wieku, płci, stanu zdrowia a także zmian klimatycznych.

Noworodki powinny być w pierwszych tygodniach po urodzeniu starannie chronione od wpływów nizkiej temperatury, dla nich bowiem najlżejsze przeziębienie ciała sprowadza ciężkie choroby, a poza tem często śmiertelne zejścia. Pomimo to zaniechać wypada odziewania dzieci w powijaki, gdyż pod względem hygienicznym niéma to żadnej doniosłości a przyczynia niemowlęciu straszne męczarnie. Rousseau powiedział w swoim „Emilu:“ „Krzyczą bo je boli, gdyby was tak skrępowano, krzyczelibyście głośniej jeszcze.“ Doprawdy tylko człowiek nie mający wyobrażenia o funkcyach życia dziecięcego może na coś takiego jak całkowite spowinięcie dziecka pozwolić. Prócz tego, że powijak nie dozwala się dziecku rozrastać, które to rozrastanie się w pierwszych tygodniach nadzwyczaj bystro postępuje, prócz tego, że nie dozwala mu swobodnie oddychać i należycie trawić, sprawia mu nadzwyczaj dolegliwe cierpienia skutkiem gwałtownego wyprostowania kończyn, które przez przeciąg kilku tygodni po urodzeniu wymagają zgiętej do pewnego stopnia pozycyi. Co tu dziwnego, że dziecko krzyczy, że samo nie śpi w nocy i innym spać nie daje, co tu dziwnego, mówię, skoro cierpi. Niejednokrotnie obserwowałem, że dziecko, wyzwolone z takich kleszczy, z najbardziej krzykliwego stawało się zupełnie spokojnem. Przez pierwszych kilka tygodni dla dziecka podłużna poduszka a za odzienie płócienna koszulka i pieluszka są najwłaściwszemi, główkę okryć takimże czepeczkiem, lecz nie należy związywać go pod brodą. Dzieciom niezupełnie rozwiniętym, potrzebującym bardzo wiele ciepła, można umieścić w poduszce butelkę z ciepłą wodą. Po sześciu tygodniach mogą już sypiać na miękkich materacykach i być okrywanemi kołderką, której rogi przymocowywa się do łóżka. Bardzo niewłaściwem jest dla dziecka ubranie flanelowe; wywołuje ono niepotrzebną transpiracyą skóry i temsamem osłabia organizm. Dzieci dorastające należy odziewać tak, aby się hartowały i przyzwyczajały do znoszenia zmian temperatury i pogody. Nie zgodzę się tylko nigdy na wysyłanie dzieci do ogrodów i na przechadzki w dekoltowanych sukienkach i z obnażonemi nogami. Dziecko biega, swawoli i skutkiem tego łatwo bardzo poci, się jeżeli pot nie wsiąknie w koszulkę, a zawieje tylko cokolwiek chłodniejszy wiatr, nastąpić może bardzo groźne zaziębienie a potem żal patrzeć na te maleństwa, które komary najswobodniej tną, wywołując bąble nader bolesne. Skóra, z wyjątkiem twarzy, powinna być całkowicie zasłoniętą odzieniem.

Człowiek w średnim wieku jest daleko wytrzymalszym na upał i zimno aniżeli dzieci i starcy i z tego względu nie potrzebuje tak troskliwie przed temi czynnikami natury zabezpieczać się. W każdym razie w naszym bardzo zmiennym klimacie wypada mieć kilka sezonowych ubrań.

Wiek starszy wymaga wielkiej troskliwości w zabezpieczeniu się od szkodliwych wpływów zimna i wilgoci; przyczyna, która u człowieka młodego wywołać może nic nie znaczące cierpienie, jak katar lub ból gardła, u starego stać się może powodem śmiertelnego zapalenia płuc lub innego ważnego organu, dla tego też dla nich

wata, flanela, futra,—są niezbędnemi. Są ludzie starzy, którzy lepiej znoszą wpływ zimna, aniżeli młodzieńcy; uważać to jednak należy za stan wyjątkowy i nie radzimy tym nowoczesnym Fontenellom zbyt brawurować wobec tak groźnego nieprzyjaciela.

Kwestya: czy płeć wymaga pewnej różnicy w ubiorze?—jest ciągle roztrząsaną. Niéma wątpliwości, że kobieta z przyczyn anatomicznych i fizjologicznych potrzebuje innego odzienia aniżeli mężczyzna i naodwrót mężczyzna z powodu zajęć nie jest w stanie przyodziewać się w strój właściwy kobietom. Z tych dwóch powodów pozostać musi pod tym względem, to jest, w odzieniu kobiety i mężczyzny różnica. Jeżeli nawet emancypacya kobiet zrównoważy je pod wszystkiemi innemi względami z męzką połową rodu ludzkiego (?!), to ta jedna różnica pozostanie niezatartą.

Dotąd nie udało się (nawet prof. Jaegerowi) wymyśleć odzienia, któreby w całem znaczeniu tego słowa, było normalnem t. j., aby odpowiadało wszelkim wymaganiom hygieny; prawdopodobnie przyjdzie taka chwila, byłaby może już dotąd nadeszła, gdyby na przeszkodzie ciągle nie stawała jej nieprzyjaciołka—moda.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Warszawskie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa urządzi we Wrześniu b. r., wystawę ubiorów kobiecych i męzkich, bielizny stołowej, mebli i ozdóby mieszkań. Wystawa ta obejmie zatem najważniejsze gałęzie ręcznej pracy kobiecej, bo wszystko to, co kobieta, jako szwaczka, modystka i matka rodziny może wykonać w zakresie odzieży własnej i dziecinnej, a częściowo i w odzieży męzkiej; dalej wszystko to, na co igła, szydełko i igliczka siatkowa, kwiaciarstwo, rzeźba i pędzel może się złożyć w celu ozdobienia domu. Nakoniec domowe tkactwo kobiety przy wystawie bielizny stołowej ma otwarte pole dla okazów swoich. Wrześniowa wystawa Muzeum Przemysłowe jest też niemal wystawą pracy kobiecej. Pragnąć należy, abyśmy ujrzeli postęp nietylko w pracowitości kobiety, ale i kierunku rugowania towaru zagranicznego przez wyrób krajowy, jak to szczęśliwie ma miejsce z kwiaciarstwem.

— Do poprzedniego sprawozdania z czynności Towarzystwa pań S-go Wincentego a Paulo, (Bluszcz N. 11), dodać należy, że oprócz 36 pań czynnie działających, było w roku zeszłym 47 płacących składkę, razem 83 stowarzyszonych. Z tej liczby umarło 3; 6 wyjechało, zatem ubyło 9. Przybyło w to miejsce 5, więc w roku bieżącym znajduje się 79 stowarzyszonych.

— Zapisy ś. p. Karoliny Roztworowskiej: 3,000 rs. na szpital dziecinny, 1,000 rs. dla ochrony Baudouina, zostały przez Miejską Radę Dobroczynności miasta naszego przyjęte.

— Taż Rada Miejska przyznała i wypłaciła z zapisy ś. p. Józefa Zacharkiewicza nagrody trzem kucharkom za długoletnią i nienaganną służbę w jednej rodzinie. Pierwszą nagrodę, w summie 1,000 zł., otrzymała Aniela Bagieńska za lat 32 służby u p. Elżbiety Miecińskiej. Drugą nagrodę 500 zł., przyznano Eleonorze Szafarczykównie za blizko 19 lat służby u p. Ksawerego Laskowskiego. Trzecią nagrodę w kwocie 300 zł., wzięła Karolina Sliwińska za przeszło 14 lat służby u p. Wilhelma Rau. O nagrodę ubiegało się 37 osób. Obok nagród przyznanych służącym należy się niewątpliwie wzmianka zaszczytna tym, którzy są ich chlebodawcami, bo tylko u rozumnej gospodyni, u rozumnej, dobrego serca i chrześcijańską moralnością przejętej pani, mogą sługi być dobre i długo na miejscu pozostawać. W żadnym innym stosunku większem być nie może oddziaływanie ducha na ducha, tylko nie trzeba się w pańskości swojej czy pysznie, czy leniwie zasklepić i czuć, że jest obok nas bliźnia nam istota ludzka.

— „Redakcya Pamiętnika Fizjograficznego" dla rozszerzenia zakresu badań nad florą naszego kraju, zwraca się z odezwą do miłośników przyrody ojczystej o zapisywanie spostrzeżeń czynionych nad pewnemi pojawami w świecie roślinnym, szczególniej zaś o notowanie czasu rozkwitania drzew i roślin rozmaitych, ogrodowych i dziko rosnących. Celem tych spostrzeżeń jest sporządzenie klimatycznej mapy, bardzo pożądanej dla rolników i ogrodników naszych. Odezwa obejmuje i kobiety; jest to wdzięczne dla nich pole działalności pożytecznej, przyczynku do naukowego opracowania przyrody naszej. Między stałymi współpracownikami tej pożytecznej publikacyi spotyka się kobietę, p. Maryę Hempel, która spisuje rzadsze rośliny znajdujące się w zamieszkiwanej przez nią miejscowości, w Teresinie.

— Właściciel Olszewnicy pod Łukowem: A. Błociszewski, zamierza skupować oprzędy jedwabne, funt po rublu. Wiadomo jest czytelnikom naszej *Kroniki*, że właściciel Olszewnicy sprzedał niedawno jedwab', uprzędzony na zwykłym kółku, funt po rs. 15.

Encyklopedya Rolnicza podaje liczbę dorosłych już drzew morwowych w naszym kraju na 359,211, które średnio mogą dać 14,368,000 funtów liścia. Otóż wyhodowane na tem pożywieniu jedwabniki, mogą wysnuć z siebie 718,400 oprzędów, co uczyni najmniej 71,840 funtów jedwabiu. Jedwab' ten rozwinięty w sposób zwykły i uprzędzony na kółku, dalej sprzedany funt po rs. 15, dałby brutto 1,077,660 rs., a uprzędzony na właściwej maszynie przyniósłby 2,000,000 rs. Kto wie, jak hodowla jedwabników, niezabierająca rocznie więcej nad 5 tygodni czasu, jest mało kosztowną, bo może się opierać w całości na pracy kobiet i dzieci, zrozumie, jak znacznym być może czysty zysk dla tych, których produkcya jedwanicza złożyłaby się na owe 2,000 000 rs. A potrzeba nam jest, potrzeba szukać nowych gałęzi zarobku, skoro dawne obniżają się tak bardzo, gdy na wsiach naszych bieda panować zaczyna. Właśnie dziesięć lat temu, bo w 1876 r. (Bluszcz N. 15), przedstawiliśmy uwadze czytelniczek pewne wskazówki, co do produkcyi jedwabiu u nas, która wszędzie, gdzie tylko rośnie morwa, udać się może najzupełniej tak pomyślnie, z tak dobrym skutkiem pieniężnym, jak we Francyi lub we Włoszech. Dlaczego u nas tak się nie dzieje, dlaczego kobiety nasze, zamieszkałe na wsiach nie wzięły się do tej pracy? Czy nie dlatego, że każda pojedynczo nie mogła spodziewać się zaraz zysków, liczących się na tysiące, a małe korzyści przy naszej niewykorzenionej dumie pańskiej, pańskich nawyknieniach, za nic się nie liczą—nie warte są kłopotu, zachodu naszego? Czas, który wolnym od tych zachodów i kłopotów zostaje — płynie nam leniwo, smutno, ale się nasza dostojność dla małych rzeczy nie wzrusza. Nie z naszego znać życia czerpano wzory do przysłowia, że ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Ponieważ nagroda udzielona na ostatniej naszej Wystawie za okazy jedwabiu z Olszewnicy, przypadała dla obojga p.p. Błociszewskich, zatem możemy jeszcze jedwabnictwo u nas uważać za gałąź pracy kobiecej i pismo nasza poda w najbliższym czasie ponowne wskazówki w tym przedmiocie.

— P. Kochańska pośpieszyła ze szlachetną pomocą młodej pannie, posiadającej talent wokalny, przez zapewnioną jej możność kształcenia głosu we Włoszech, gdzie, zdaniem Kochańskiej, wpływy klimatu wspomagają studya. Zobowiązawszy się piśmiennie dawać przez lat 3 po 3,000 franków, p. Kochańska wypłaciła zaraz protegowanej swojej 1,500 fr. Prócz tego całkowity dochód z występu swego na scenie warszawskiej, wynoszący 1,000 rs., oddała szlachetnie na dobroczynne i społeczne cele.

— W dniu 14 Marca odbyło się w Krakowie, w radnej sali ratusza pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta, Dr. Schmida walne zebranie stowarzyszenia nauczycielek. Liczy ono 2,387 stowarzyszonych, prezydującą została ponownie p. Zubrzycka, wiceprezesem Dr. Schmid, sekretarką p. Pogonowska. Dochody stowarzyszenia wynosiły w roku ubiegłym 2,047 zł. reńskich, biblioteka stowarzyszenia liczy 860 tomów.

— We Lwowie zauważono, że znaczniejsza, niż kiedykolwiek liczba dziewcząt wyznania mojżeszowego poszukuje nauki w polskich szkołach. Na kursie dodatkowym, to jest wyższym szkoły, utrzymywanej przez Benedyktynki Ormiańskie, więcej niż połowa słuchaczek jest wyznania mojżeszowego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz" w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Sprostowanie.

W Nr 12 *Bluszczu* na str. 94-tej, w *Sprawozdaniu z czynności i i. d.*, w wierszu 32-m od początku po wyrazie „opłatą", opuszczono w druku wyraz „porta (pocztowego)". Trzy czasopisma: *Prawdę*, *Kronikę rodzinną* i *Wieczory rodzinne* redakcye dają od siebie bezpłatnie; odbierający opłacają tylko *porto* pocztowe.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 21-szy powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Dorobek, poezya. — Odpowiedzi na Kwestyonaryusz, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Wiadomości z hygieny, (dalszy ciąg), przez Dra Józefa Starkmana. — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 21-szy powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a. — 21 wzorów ubiorów robót wraz z opisem.— Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Марта 1886 года.